

Marcin Świetlicki, *Nieoczywiste. 77 wierszy religijnych*, wybór Wojciech Bonowicz, Wyd. EMG, Kraków 2007.

Elżbieta Binczycka

Wieprzowina Świetlickiego w masarni Bonowicza

Już od pierwszej strony konsternacja. Kto jest autorem tego tomiku? Bonowicz czy Świetlicki? Po lekturze poprzedzonego obszernym wstępem tomiku wyrokuje: Bonowicz, ponieważ Bonowicz używa wierszy Świetlickiego, jak klocków, z których buduje nową piramidę znaczeń. I jeszcze Świetlicki, bo Świetlicki tych klocków dostarcza dobrowolnie i z uśmiechem – w końcu szesnaście dotąd niepublikowanych wierszy, które ocenił jako „religijne” sam posłał do Bonowicza.

Dotknąć Boga można wszędzie! – zdaje się mówić ten ostatni we wstępie poprzedzającym wybór. Najpierw jednak trzeba stać się wrażliwym, dopuścić do głosu pewne „intuicje” czy wreszcie otworzyć się na „religijność, wiarę, *sacrum*”. To właśnie trio konsekwentnie przywołuje Bonowicz w nawiasie, zawsze wtedy, gdy najpierw używa terminu „religia”, jakby już od samego początku zdawał sobie sprawę z tego, jak naciągane są jego interpretacje.

Postanowiłam przeżyć jeden dzień według tejże metafizyki i otwarta na bombardujące mnie zewsząd *sacrum* udałam się do sklepu spożywczego. Po drodze minęłam dwa kościoły i katolicką księgarnię. Do środka wprawdzie nie wchodzę od lat, ale przechodząc czasem zastanawiam się nad Rzeczami. Różnymi. Myślę sobie złośliwie, że wedle Bonowicza byłby to zapewne niechybny znak mojej głębokiej religijności. Droga do sklepu może być również prywatną Golgotą. Albo pielgrzymką. Kościoły na mojej drodze – Sanktuaria Poszukiwań. Księgarnia katolicka – wielka metafora odwiecznego sporu wiary i rozumu...

Na całe szczęście interpretacja Bonowicza nie idzie aż tak mocno w tę absurdalną stronę, choć czytelnik tomu *Nieoczywiste* może być zdziwiony odnajdując w spisie treści znane sobie utwory (w moim przypadku były to *Dla Jana Polkowskiego* czy *Filandia*), których nigdy nie nazwałby religijnymi.

Wśród całego szeregu różnych definicji religii: etymologicznych, genetycznych, strukturalnych, funkcjonalnych zna religioznawstwo także i definicje typu „religia to coś

więcej”, zaś różni badacze od Eliadego począwszy zdają sobie sprawę, że *sacrum* może być wszystko, nie pierwszy więc Bonowicz kroczy tymi ścieżkami.

Droga Bonowicza przypomina mimo wszystko moją drogę do sklepu: u końca podróży delikatesy, a w nich już przy wejściu stoisko rybne – wiadomo nam przecież o Jonaszu; i zaraz obok wędliny – wiadomo nam również o Baranku. Pomysł Bonowicza, choć początkowo wydał mi się równie naciągany ma jednak swoją rację bytu, co uderzyło mnie niespodziewanie we wspomnianym już supermarkecie.

Stałam w kolejce przy stoisku z wędlinami, rozmyślając nad biblijnym zakazem jedzenia wieprzowiny, kiedy nagle mój wzrok przykuła niebieska tabliczka z napisem „Szynka z Przechlewa”. Nie uprawiam tu żadnej kryptoreklamy, ale przyznać trzeba, że to ta właśnie szynka zmusiła mnie ona do zastanowienia. Szynka z Przechlewa! Z *prze*-chlewa. *Prze*-szynka z *prze*-świni. Ile ukrytych znaczeń. Ile wątpliwości...!

Dla dobra Bonowicza rozważmy je po kolei.

Przypadek pierwszy: Zakłady Mięsne w Przechlewie produkują wędliny, które etykietowane są jako „Szynka z Przechlewa” nie zdając sobie zupełnie sprawy z językowej dwuznaczności takiego nazwania. Przypadek drugi: jak wyżej, ale zamiast nazwać swój produkt „Szynka bacy”, „Szynka tradycyjna” czy jakkolwiek inaczej przebiegli masarze przyczepiają jej etykietkę „Szynka z Przechlewa” puszczając w ten sposób perskie oko do bardziej wyrafinowanego konsumenta. Na koniec rodzi się pytanie: czy moja interpretacja nazwy produktu spożywczego jest uzasadniona, nawet w przypadku, gdy szynka została tak nazwana zupełnie niecelowo? Moja odpowiedź brzmi: tak. Tak, niezależnie od tego, czy szynka rzeczywiście jest *prze*-dobra.

Bonowicz czyta Świetlickiego i wskazuje na Świetlickiego, jako na poetę religijnego. Ma do tego prawo, rzec nawet można: *święte*. Prawo czytelnika do interpretacji. Świetlicki napisał teksty i teksty żyją teraz własnym życiem. Bonowicz wyrywa je z tomików i składa antologię siedemdziesięciu siedmiu wierszy religijnych. Siedemdziesięciu siedmiu, bo to liczna w kontekście Biblii niezwykle znacząca. W Ewangelii Mateusza czytamy, iż Chrystus każe przebaczać nam nie siedem, a siedemdziesiąt siedem razy. Siedemdziesiąt siedem, czyli w nieskończoność. Wiersze Świetlickiego niby „nieoczywiste”, ale religijność jego – niewyczerpana...

Zgodnie z tą właśnie myślą stara się Bonowicz budować swoją antologię w sposób konsekwentny i przemyślany.

W pierwszej części tomiku oglądamy świat przedstawiony, w którym uwięziony jest bohater liryczny wierszy Świetlickiego. Postawiony za drutami, spoza których oglądać może

zamknięty kościół (wiersz *Pole szczawiowe*) i „trawiony” jak Jonasz w brzuchu wieloryba (wiersz *Jonasz*, wykazujący zresztą spore powinowactwo ze *Starving In The Belly Of A Whale* Waitsa). Uwięziony w „piekle spokoju” natrętnie powraca do grzesznej Sodomy (*My wyjeżdżamy*), zaś spostrzegając pielgrzymki które „już czekają, kryją się za rogiem” (*Kraków 1982*) okazuje się być wyraźnie krytyczny w stosunku do zinstytucjonalizowanego kultu.

„Zepsuło się kino / zepsuł się kościół” – czytamy w wierszu *Satysfakcja* i zastanawiam się, na ile Bonowicz zdaje sobie sprawę, że wiersze świadczące o kryzysie wiary mogą nadal odnosić się do religii, ale nie być już nawet w ten „nieoczywisty sposób” religijne...? Niechętny zorganizowanym formom wiary, trawiony w brzuchu wieloryba Świetlicki nie wydaje się być autorem tylko i wyłącznie poszukującym, co raczej niezbyt zaprzęta zaaferowanego „nieoczywistą religijnością” kolegi, Bonowicza.

W dalszej części tomiku usytuowane są wiersze mające dookreślić sam status podmiotu lirycznego, który „ma grzech, z którego się nie wydobędzie” (wiersz *Marcin*). Jego wiara to wiara „rozwiana i krystalizująca / się, tak na przemian (...)” (*Jabłczanka i bigos*), a doznania metafizyczne, z którymi się mierzy, wyrażane już najczęściej bez odwoływania się do biblijnych metafor, mają najwyżej blady pozór doświadczenia *stricto* religijnego. Samotny w labiryncie pustych kościołów (**** A któregoś dnia...*), oddzielony od tego, co święte, obojętne czy umiera „na brak Eucharystii” (*Umieranie*) czy „na Dworzec Wschodni” (*Umieranie [druga wersja]*).

Dalej tomik jest już nieco mniej poukładany. Poznajemy świat podmiotu lirycznego, jego kobiety, lęki, powroty do domu, zastanowienia, modlitwy, oczekiwanie na Mesjasza, który ma „dać mu robotę” (*Ochroniarz*) i na Sąd, który odbywa się codziennie (*Zapisek, sierpień 91*). Wszystko to zostawia czytelnika z refleksją, iż wprawdzie nie można odmówić Świetlickiemu przeżyć czy zastanowień metafizycznych (co ma swoją logikę, zważywszy, iż mamy do czynienia z poezją), ale nie można jednak nazwać jego wierszy „religijnymi”, nawet religijnymi „w sposób nieoczywisty”. Podobnie ma się rzecz z samym Świetlickim, w którym Bonowicz uparcie upatruje poety religijnego, a który w ciągu trzydziestu lat swojej twórczości pisze tylko – przy bardzo łaskawej interpretacji – kilkadziesiąt utworów dotyczących „religijności, wiary, *sacrum*”.

W hipotetycznej sytuacji, w której wójt (a może nawet również proboszczem?) Przechlewa jest Marcin Świetlicki, Bonowicz – smakosz i piewca lokalnych wędlin, postanawia zrobić nieco szumu wokół zakładów mięsnych. Czy Świetlicki zdaje sobie sprawę z dwuznaczności nazwy swojej szynki, czy to dopiero Bonowicz mu ją uświadamia? Tego nigdy się nie dowiemy, widzimy natomiast wyraźnie, jak obaj panowie ramię w ramię

promują określone wyroby. Smaczne i wieloznaczne, napompowane nowym, „nieoczywistym” sensem. Nic tylko konsumować oblizując palce.

Elżbieta Binczycka